

- No, dobrze – odezwał się Will do trzech chłopców. – Zobaczymy, jak sobie radzicie z łukiem. Po dziesięć strzał, każdy do własnej tarczy.

Wskazał trzy zwyczajne, okrągłe tarcze – zwyczajne, czyli całkiem spore. Uczniowie ustawili się na linii wyznaczającej pozycje strzeleckie. Nieco dalej ćwiczyło dwóch starszych zwiadowców, mierząc do tarcz nie większych od talerza, umieszczonych w odległości stu pięćdziesięciu metrów. Czeladnicy przez chwilę przyglądali się ze zdumieniem, jak pociski, jeden po drugim, wbijają się w niemal niewidoczny z tej odległości cel.

- Czasu mamy mnóstwo, ale kiedyś słońce jednak zajdzie – rzucił Will. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że mimo woli przyjął kpiący, ironiczny sposób bycia oraz ton, jakim odzywał się do niego Halt, kiedy udzielał mu pierwszych nauk, wprowadzając swego ucznia w zwiadowcze arkana.

- Tak jest, panie. Prosimy o wybaczenie, panie – zawołał słuźbiście chłopak stojący najbliżej. Wszyscy trzej spoglądali na Willa z niezbyt mądrym wyrazem twarzy.

Westchnął.

- Stuart? – zwrócił się do tego, który się odezwał.

- Tak, panie?

- Nie jestem żadnym „panem”. Obaj jesteśmy zwiadowcami, tyle wystarczy.

- Ale... – zaczął jeden z pozostałych chłopców. Był mocnej budowy, a na czoło opadała mu grzywa rudych, potarganych włosów. Will szybko przeszukał zasoby pamięci, by przypomnieć sobie imię: tak, ten rudzielec nazywa się Liam.

- Liam?

Młody czeladnik splotił się.

- No... Bo przecież jesteśmy tylko uczniami, a pan... A ty... – urwał. Nie bardzo wiedział, co tak naprawdę chce powiedzieć. Najprawdopodobniej byłoby to coś w rodzaju: „...Jesteśmy czeladnikami, a ty, to ty”, co zabrzmiałoby raczej głupio.

Bowiem, choć Will o tym nie wiedział, wszyscy trzej darzyli go ogromną estymą. Przecież mieli do czynienia z legendarnym Willem Treatym, zwiadowcą, który uratował córkę króla przed wargalską armią Morgaratha, potem zaś strzegł jej, gdy oboje zostali porwani przez skandyjskich najeźdźców. Następnie stworzył oddział łuczników, dzięki któremu udało się pokonać temudżeińskich jeźdźców. A on łucznikami dowodził. Ba, zaledwie kilkanaście miesięcy temu zapobiegł napaści Skottów zagrażających północnym granicom Królestwa, nie wspominając nawet, że ledwie w pierwszym roku swego zwiadowczego terminu uśmiercił krwiożerczą kalkarę.

Każdy z nowicjuszy darzył szacunkiem wszystkich starszych zwiadowców, tyle że od Willa byli ledwie o kilka lat młodszy, toteż jawił im się jako bohater rodem z baśni i wielbili go bezgranicznie. Co prawda, gdy zobaczyli Willa po raz pierwszy na własne oczy, spotkała ich, by tak rzec, niespodzianka. Oczekiwali widoku postaci w samej rzeczy heroicznej, rosłej i wzniosłej. Tymczasem ujrzeli osobnika o młodzieńczej twarzy, szczupłego, zawsze uśmiechniętego, wzrostu nieco późniejszego niż średni.

Gdyby Will zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, z pewnością rozbawiłoby go ich zdziwienie, ale przede wszystkim odczuwałby ogromne zakłopotanie. Ileż razy miał do czynienia z podobną reakcją w przypadku Halta, kiedy ludzie znający mentora jedynie z legendy, stawali z nim po raz pierwszy oko w oko. Will nie miał o tym pojęcia, ale jego własna sława zaczęła już dorównywać reputacji mistrza.

O ile Will nie uświadamiał sobie, że dla tych trzech chłopaków stał się mitycznym bohaterem, o tyle rozumiał doskonale, jaka przepaść dzieli, z ich punktu widzenia, „dorosłego” zwiadowcę od czeladników. Przecież jeszcze nie tak dawno czuł dokładnie to samo.

– Owszem, zaliczacie się do początkujących zwiadowców – przyznał. – Ale o wiele większy nacisk trzeba położyć na to drugie słowo: „zwiadowców”. – Dotknął dłonią zawieszoną na szyi srebrnej odznaki w kształcie dębowego liścia. – Jako posiadacz tego emblematu mogę wymagać od was posłuszeństwa, a może nawet pewnej dozy szacunku. Jednak w żadnym razie nie oczekuję, że będziecie zwracać się do mnie w jakiś szczególnie uniżony sposób. Mam na imię Will, więc tak mnie nazywajcie. Po prostu, Will. Podobnie do mojego przyjaciela będziecie mówić „Gilan”, a do mojego byłego nauczyciela „Halt”, gdyby któryś z nich się tu pojawił. Takie obyczaje panują pośród zwiadowców.

Ktoś pewnie stwierdziłby, że chodzi o drobiazg bez znaczenia, lecz Will uważał inaczej. Takie sprawy warto wyjaśniać od razu. Zwiadowcy to szczególna formacja, której członkowie muszą niekiedy przemawiać z pozycji autorytetu wobec ludzi teoretycznie górujących nad nimi w społecznej hierarchii. Dlatego ważne, żeby ci chłopcy zczasu zdali sobie sprawę, iż pewnego dnia może pojawić się taka właśnie konieczność, że będą musieli występować w imieniu władcy. Dotyczyło to wszystkich – zarówno uczniów, jak i tych, którzy dawno już odbyli termin. Pewność siebie stanowiła niezbędną cechę zwiadowcy, a to poczucie młodzi mogli zyskać między innymi dzięki temu, że w Korpusie wszyscy byli sobie równi, przynajmniej jeśli chodzi o relacje międzyludzkie.

Trzej uczniowie spojrzeli po sobie. Will dostrzegł, że jakby wyprostowali się nieco, a ich głowy odrobinę się uniosły.

– Tak... Willu – odezwał się Liam. Skinął głową, jakby oswajając się z dźwiękiem imienia legendarnego zwiadowcy.

Dwaj pozostali także przyjęli krótki wykład z uznaniem. Dał im jeszcze chwilę, po czym spojrzął znacząco w stronę słońca.

– A jednak, prędzej czy później, w końcu zacznie się ściemniać – mruknął, niby do siebie. Skrył uśmiech, gdy trzy strzały błyskawicznie wysunęły się z kołczanów.

W następnej chwili zadźwięczały trzy łączyska. Rozległ się charakterystyczny świst, gdy pociski wyruszyły w swą drogę do celów.

– Dziesięć strzał – przypomniał. – Potem przekonamy się, jak wam poszło.

Podszedł do pobliskiego drzewa, usiadł pod nim, opierając się wygodnie plecami o pień. W cieniu, z twarzą skrytą pod kapturem, zdawał się drzemać. Jego oczy pozostawały jednak wciąż czujne, a uwadze nie umykał żaden szczegół techniki strzeleckiej uczniów.

Przez kolejne dwa dni Will nadzorował łucznicze ćwiczenia trzech czeladników oraz poprawiał popełniane błędy. Na przykład Liam, nie wiedząc skąd, nabrał przyzwyczajenia, by kontrolować naciąg, dotykając kącika ust kciukiem prawej dłoni.

– Dotykaj warg palcem wskazującym, nie kciukiem – pouczył go Will. – Jeśli dotykasz kącika ust kciukiem, odruchowo skręcasz dłoń w prawo, co sprawia, że po wypuszczeniu strzała zawsze skieruje się w lewą stronę.

Liam przyjął to pouczenie. Celność jego strzałów z miejsca się poprawiła – zwłaszcza na większych dystansach, kiedy nawet nieznaczne odchylenie staje się istotne. Nick wykazywał z kolei skłonność do zbyt silnego chwytania za majdan. W całej jego posturze wyczuwało się zawziętość i ambicję, by za wszelką cenę uzyskać pożądaną wynik. Determinacja przekładała się jednak na zbyt silne napięcie ramienia. W rezultacie podczas strzału następowało szarpnięcie drzewcem w lewo, przez co wypuszczane pociski często przelatowały z dala od celu. Także ten błąd Will dostrzegł i skorygował go, zachęcając młodego łuczniczkę, by podczas kolejnych ćwiczeń pamiętał o konieczności rozluźniania mięśni. Technika strzelecka Stuarta nie budziła zastrzeżeń. Jak na ten poziom, była właściwie bezbłędna. Tyle że, podobnie jak pozostali, młodzieniec potrzebował jeszcze setek, tysięcy godzin praktyki, by jak przystało na zwiadowcę, stać się wyborowym łuczniczkę.

– Ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć, jeszcze raz ćwiczyć – instruował Will. – Nie zapominajcie o starym powiedzonku: Zwykły łucznik doskonali się tak długo, aż zacznie trafiać. Lecz zwiadowca...? – zawiesił głos, czekając, aż dokończą za niego:

– ...Zwiadowca ćwiczy, dopóki nie przestanie chybiać! – odezwali się chórem.

Uśmiechnął się z aprobatą.

– No, właśnie. Miejcie to na uwadze – rzucił.

Wreszcie, trzeciego dnia, nastął kres łuczniczych ćwiczeń.

Poprzedniego wieczoru chłopcy otrzymali pisemny opis taktycznego zadania, czyli problemu, który powinni rozwiązać. Czas po kolacji aż po capstrzyk poświęcili na roztrząsanie postawionego zagadnienia i poszukiwanie pierwszych pomysłów, jak sobie z nim poradzić. Will otrzymał ten sam dokument jednocześnie z nimi.

Gdy go przeczytał, rozłożył bezradnie ręce.

– No, pięknie. Oto cały Crowley i jego szczególne poczucie humoru – parsknął, rzucając papiery na ziemię.

Gilan podniósł na niego wzrok znad szycia – cerował właśnie płaszcz, bowiem podczas pokazu ukrywania się, wpadł w kępę ciernistych krzewów, ponosząc pewne szkody w odzieniu.

– O co chodzi? – spytał.

Will podniósł kartki, trzepnął w nie dłonią.

– Chodzi o zadanie taktyczne dla uczniów. Crowley uprzedzał zresztą, że będę miał niezły ubaw. No, rzeczywiście, kupa śmiechu. Młodziaki mają wynaleźć najlepszy sposób zdobycia zamku opanowanego przez najeźdźców. Rzec dzieje się u północnych rubieży naszego królestwa. Coś ci to przypomina?

Gilan uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Słyszałem o kimś, kogo trapił podobny kłopot – przyznał. Bo też i rzeczywiście, sytuacja została zbudowana niemal identycznie, jak ta, z którą Will musiał się uporać zeszłej zimy w Zamku Macindaw.

– Zrobił sobie ze mnie igraszkę dla uczniów – mruknął gniewnie Will.

Był bliższy prawdy, niż mu się zdawało. Crowley rozesłał szczegółowy opis tamtych wydarzeń wszystkim członkom Korpusu. Towarzysze Willa studiowali jego rozwiązania taktyczne, z niemałym zresztą uznaniem.

Ci, którzy otrzymywali pod opiekę czeladników zwiadowczych, posługiwali się osiągnięciami kolegi, stawiając je za przykład inicjatywy, a także pomysłowości w sytuacji, w której ma się do dyspozycji znacznie mniejsze siły, niżby wynikało z charakteru zadania.

Gilan oczywiście o wszystkim wiedział, jednak uznał, że lepiej zataić ów fakt przed Willem. Czuł, że tego rodzaju sława stałaby się dla przyjaciela krępująca. Rzec jasna, Will, jako jedyny zwiadowca, nie otrzymał od Crowleya rzeczonoego opisu wydarzeń w Macindaw – bądź co bądź, znał ich przebieg lepiej niż ktokolwiek inny.

– Jakimi środkami dysponują? – zainteresował się Gilan.

Will spojrzął na listę zatytułowaną „siły i środki”. Wyszczególniono na niej wszelkiego rodzaju elementy taktyczne, którymi młodym zwiadowcom wolno się będzie posłużyć przy opracowywaniu planu.

– Wędrowny grajek – odczytał. W takim właśnie przebraniu dostał się na Zamek Macindaw. – Świetny pomysł. Na co komu się przyda jakiś rybał? Konny rycerz – wyliczał dalej. – Jeden. Przecież to nie Horace, skąd znowu. Żołnierze dawnej obsady warowni – czterdziestu. Którzy, oczywiście, zdążyli się już rozproszyć po całej okolicy. Trupa akrobatów, żonglerów oraz komediantów... Hm, czyli coś zamiast machin oblężniczych. No, jeszcze mieszkańcy pobliskiej wioski.

– Naprawdę? Żadnych Skandian z rozbitego wilczego okrętu, ani jednego czarownika? – zaśmiał się Gilan.

– Nie. Przynajmniej tego mi oszczędził – parsknął ze złością Will. – Swoją drogą, hm, akrobaci... Naprawdę mogliby się przydać, o ile daliby radę wspiąć się na mury. – Przerzucił stronicę, żeby spojrzeć na szkic zamku. Mury wysokie na trzy do czterech metrów. Dla zwykłego człowieka przeszkoda nie do pokonania. Tymczasem dla sprawnego linoskoczka...

Machnął ręką, wetknął papiery do kieszeni. Przecież to nie jego problem. Nie on, ale ci trzej chłopcy mają znaleźć rozwiązanie zadania. Jego rola sprowadzi się tylko do tego, by ocenić, czy da się pomysły zastosować w praktyce.

– Będziesz miał niezły ubaw – mruknął tymczasem Gilan.

Will pokręcił głową.

– Pewnie, pewnie. Ciekawe, co chłopaki wymyślą.

Halt, przykryty maskującym płaszczem, leżał nieruchomo w zaroślach na zboczu wzgórza wznoszącego się ponad wioską Selsey. Jedyne oczami poruszał nieustannie, obserwując, co dzieje się w osadzie. Przyglądał się tak Selsey już od kilku dni, niewidzialny dla mieszkańców ani dziwnych przybyszów, którzy zagościli na wybrzeżu.

Wioska Selsey była małą, niepozorną osadą rybacką złożoną z kilkunastu chat, skupionych nad płytką zatoką o trójkątnym kształcie. Zatoka wcinała się w skalisty brzeg na północnym krańcu płaskiego wybrzeża, u stóp stromego zbocza góry. Równinny pas rozciągał się wąsko, sięgając zaledwie stu metrów w głąb lądu. Zatokę z trzech stron osłaniały wzgórza dość wysokie, by chronić wioskę i zatokę od szalejących często u tych brzegów burz oraz wichrów. Od strony morza Halt dostrzegł u ujścia zatoki spienioną wodę, wskazującą miejsce, gdzie tuż pod powierzchnią morza znajdowała się skalista bariera, o którą rozbijały się potężne fale, gnane przez zachodni wiatr.

W południowej części zatoki wody wyraźnie cichły – tam bowiem zaczynała się głębina. Płynąc tamtędy, dawało się ominąć podwodne skały. Tym właśnie przesmykiem łodzie rybackie wyruszały na otwarte morze. Rybackie chaty były niewielkie, lecz daleko im było do ubogich lepianek. Zbudowane solidnie, wszystkie świeżo pomalowane, sprawiały wrażenie całkiem wygodnych siedzib.

Podobnie rzecz się miała, jeśli chodziło o łodzie. Maszty oraz bomby pokryto świeżą warstwą żywicy chroniącej drewno przed słońcą wodą. Żagle umocowano pieczołowicie na bomach. Olinowanie wykonano solidnie, widać było, że dbano o nie. Kadłuby, również w doskonałym stanie, wyglądały na niedawno odmalowane.

Choć więc na pierwszy rzut oka osada sprawiała wrażenie skromnej wioszczyny, uważna obserwacja prowadziła do zgoła innych wniosków. Panował tu ład, porządek i dostatek. Wybrzeże nie obfitowało w osłonięte miejsca, nadające się na przystań, więc rybacy z Selsey bez trudu znajdowali chętnych na złowione przez siebie ryby. Wystarczyło zawieźć połów do którejś z sąsiednich wiosek. Tutejszym mieszkańcom powodziło się zatem całkiem dobrze, zresztą już od dłuższego czasu.

Co, naturalnie, wyjaśniało obecność Odszczepieńców. Rzecz zrozumiała – rzekł w duchu Halt sam do siebie, mrużąc oczy. Miał słusność, rezygnując z udziału w tegorocznym Zlocie. Warto było podążyć tropem owych niejasnych pogłosek, nadchodzących z zachodu Araluenu.

Traf chciał, że ów wąski pas wybrzeża należał do nielicznych obszarów w kraju niepodlegających jurysdykcji żadnego z pięćdziesięciu lenn. Gdy wiele lat wcześniej wytyczano granice terytoriów, został po prostu pominięty. Jakiś czas potem grupka uchodźców z Hiberni zwróciła się do Korony z prośbą o prawo osiedlenia się w zatoce. Ówczesny władca ledwie zerknął na niezbyt dokładną mapę, następnie tylko machnął ręką i łaskawie wyraził zgodę. Miał akurat na głowie poważniejsze kłopoty niż jakiś zapomniany przez wszystkich skrawek wybrzeża; użerał się z pięćdziesięcioma krnąbrnymi, skłóconymi między sobą baronami, usiłując stworzyć – z nimi, czy też raczej wbrew nim – sprawnie

działający system wewnętrznej administracji państwa. W konsekwencji ów dwudziestokilometrowy odcinek wybrzeża pozostawiono własnym losom. Oczywiście, rzecz miałaby się inaczej, gdyby monarcha zdał sobie sprawę, iż dobrowolnie rezygnuje z kontroli nad jedną z najlepszych naturalnych przystani w promieniu stu kilometrów. Jednakowoż mapa okazała się nie dość dokładna; znajdującej się tu zatoki po prostu wcale na niej nie zaznaczono. Toteż mała rybacka osada prosperowała przez długie lata, a jej mieszkańcy nie płacili podatków, a także nie podlegali niczyjej władzy. Ponieważ jednak znajdowała się opodal zachodniej granicy lenna Redmont, ostatnimi laty Halt zaczął tu dyskretnie zaglądać.

Od kilku już miesięcy dochodziły go wieści o pojawieniu się na tutejszym terenie nowego kultu, który sądząc po wrywkowych opisach, wcale nie był taki nowy, wręcz przeciwnie, wydawał się podejrzanie znajomy. Opowiadano o przybyszach, którzy pojawiali się w tej czy innej wiosce, głosząc pokój i przyjaźń. Dzieciom rozdawali zabawki, obdarowywali też drobnymi upominkami przywódców miejscowej wspólnoty.

Nie żądali niczego w zamian. Pragnęli jedynie uzyskać zgodę na osiedlenie się, by w pokoju czcić swojego dobrotliwego, miłosiernego boga, Złotego Alsejasza. Nie starali się nawracać miejscowych, twierdząc, że Alsejasz jest bóstwem wyrozumiałym, który nie odbiera wyznawców innym bogom.

Odszczepieńcy, jak zwali siebie samych wyznawcy Alsejasza, przez wiele tygodni nie wadzili nikomu, żyjąc w zgodzie z tubylcami.

Po pewnym czasie jednak wszędzie, gdzie się pojawiali, nieodmiennie coś zaczynało się psuć. Bydło padało na tajemniczą zarazę. Owce oraz domowe zwierzęta nagle zaczynały kuleć. Płonęły uprawy i domostwa, nagle okazywało się, że woda w studniach jest zatruta. W okolicy zaczynali się kręcić zbrojni rabusie i bandyci, którzy napadali podróżnych, a także atakowali gospodarstwa położone na odludziu. Wkrótce napastnicy stawali się coraz bardziej zuchwali, dopuszczając się bestialskich okrucieństw. Mieszkańcy wioski nie wiedząc, skąd i kiedy padnie następny cios, bezustannie drżeli o swe życie.

Wtedy głos zabierali Odszczepieńcy. Powiadali, że znają sposób na ocalenie wieśniaków. Grasujący złoczyńcy to z pewnością wyznawcy złego bożka Balsennisa – mrocznego demona, zionącego nienawiścią do Alsejasza i wszystkich wartości głoszonych przez jego wyznawców.

O tak, Odszczepieńcy mieli już z tamtymi do czynienia. W swej podłej zawiści Balsennis próbuje unicestwić wioskę, w której kiedykolwiek gościli lub nadal goszczą Alsejasza wraz ze swym wiernym ludem. Jednak Alsejasz jest potężniejszy – powiadali – i potrafi dopomóc. Przegoni precz zwolenników swego mrocznego brata i sprawi, że w wiosce znów zapanuje spokój. Aby odpędzić Balsennisa, trzeba jednak ponieść pewne ofiary. Trzeba odmawiać specjalne modły i wznosić błagania. Alsejasz posiada wielką moc, lecz żeby ją urzeczywistnić, niezbędna jest specjalna świątynia, wraz z ołtarzem, przed którym należy odprawiać stosowne ceremonie. Ołtarz zaś należy zbudować z najszlachetniejszych materiałów: białego marmuru, nieskazitelnych desek cedrowych – bez węzłów czy sęków oraz... ze złota.

Bowiem Alsejasz jest Złotym Bogiem. Czerpie moc z drogiego kruszcu, złoto daje mu potęgę, której potrzebuje, by pokonać niecnego Balsennisa. Prędzej czy później mieszkańcy każdej wioski ulegną. Wobec coraz okrutniejszych i coraz zuchwalszych napaści oraz innych przeciwności losu sięgną do swych kies, wydobędą ukryte kosztowności i sygną złotem. Im dłużej będą się wahać, tym straszniejsze nieszczęścia na nich spadną. Teraz już nie tylko zwierzęta, ale również ludzie staną się celem czcicieli złowrogiemu demonowi. Członkowie miejscowej starszyny będą ginąć, mordowani podczas snu we własnych łóżkach. Gdy dojdzie do najgorszego, mieszkańcy wioski nie będą już skąpić skarbów. Powstanie świątynia. Odszczepieńcy zaś podejmą modły, wzniosą pienia, odbędą posty. Wówczas napaści stopniowo ustaną. Plaga nieszczęśliwych „wypadków” zacznie wygasać.

Wciąż rzadziej i rzadziej pokazywać się będą siepacze złego Balsennisa. Życie z wolna wróci do normy.

Wreszcie pewnego dnia, kiedy w wiosce zabraknie już czegokolwiek, co warto by od mieszkańców wyłudzić, Odszczepieńcy znikną. A wraz z nimi – całe bogactwo oraz kosztowności gromadzone przez długie miesiące albo nawet lata. Odszczepieńcy przeniosą się tymczasem do innej miejscowości, a tam wszystko znów zacznie się od początku.

Halt pojawił się w Selsey, nim jeszcze do tego doszło; Odszczepieńcy byli na etapie żarliwych modłów o ocalenie wioski od balsennisowych zbirów. Miał więc okazję wysłuchać nabożnych pień, obserwować, jak kapłani Alsejasza umartwiają się i poszczą. Bez trudu wytropił tajne spiżarnie, bowiem post w wykonaniu oszustów zasadzał się na takim samym łgarstwie, jak wszystko inne.

Dokonał też rozpoznania w najbliższej okolicy, odnalazł obozowisko współpracujących z Odszczepieńcami bandytów. To oni wykonywali czarną robotę – palili stodoły, okaleczali zwierzęta, porywali i mordowali tubylców. Bez nich kult Alsejasza nie miałby racji bytu, ale wieśniacy, oczywiście, nie zdawali sobie z tego sprawy. Wszystko zostało przemyślane, zaplanowane, dobrze zorganizowane. Dokładnie tak samo, jak działania sekty, z którą miał do czynienia wiele lat wcześniej, a która teraz powróciła.

Zmarszczył brwi, bo jakaś postać wyłoniła się z wielkiego namiotu zamieszkałego przez Odszczepieńców. Namiotu rozstawionego nad samym brzegiem, w pobliżu miejsca, gdzie wyciągano na plażę łodzie rybaków, tuż poza zasięgiem przypiływu.

Przed namiotem wyrósł wysoki, mocno zbudowany mężczyzna. Siwe, długie włosy opadały po obu stronach jego twarzy. Ze znacznej odległości Halt nie potrafił dostrzec rysów, lecz już wcześniej zaobserwował, że oblicze owego człowieka naznaczone zostało śladami po ospie. Najwyraźniej Alsejasz na to akurat nie potrafi nic poradzić – stwierdził zgryźliwie w myśli.

Mężczyzna dzierżył w dłoni laskę, oznakę przywództwa w grupie wyznawców. Ot, zwykła, z grubsza ociosana gałąź, na której górnym końcu umieszczono symbol Odszczepieńców: pokryty runami kamienny pierścień z wprawioną weń kulą, do której z kolei przymocowano kamienną półkulę. Obserwowany przez Halta kapłan pewnie kroczył w stronę najokazalszego z domów wioski.

– Trzeba więcej złota, prawda? – mruknął pod nosem Halt. – Zobaczymy, co ci się uda wskórać.

Przywódca Odszczepieńców spotkał się z grupą wieśniaków – najwyraźniej starszyzną – i rozpoczęła się ożywiona rozmowa. Halt nie wątpił, że wie, czego ona dotyczy, bo w przeszłości był już świadkiem niejednej podobnej wymiany zdań. Kapłan z ubolewaniem powiadamia mieszkańców wioski, że niestety trzeba złożyć w ofierze więcej bogactw. Alsejasz potrzebuje bowiem większej mocy, którą tylko w ten sposób mogą mu zapewnić, inaczej nie zdoła pokonać odwiecznego wroga. Sprytna taktyka – pomyślał Halt. Domagając się złota z wyraźnym ociąganiem, wcale nie nalegając w razie odmowy, Odszczepieńcy unikali podejrzenia, jakoby domagali się kosztowności dla siebie samych. Skąd znowu, wszystko dla Złotego Alsejasza.

Halt przyglądał się dalej; teraz kapłan teatralnym gestem wzruszył ramionami, okazując w ten sposób, że nic już tu nie wskóra: skoro wieśniacy powiadają, że nie mają więcej złota, z pewnością tak jest. Rozłożył ramiona w geście wyrażającym przyjaźń oraz zrozumienie, następnie, kiwając smutno głową, odwrócił się, by ruszyć w stronę swojego namiotu. Teraz, jak i zawsze, postępował zgodnie ze stosowaną rutynowo przed Odszczepieńców praktyką. Oto właśnie obiecał, że wraz ze swoimi współwyznawcami i tak będzie czynił, co w jego mocy, modląc się, a nawet poszcząc w intencji mieszkańców wioski.

– Tymczasem dzisiejszej nocy – szepnął do siebie Halt – jeden z tych domów stanie w płomieniach.